

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

1) Tłum. z francuskiego.

Część I.

Rudy mężczyzna i kobieta z zielonemi oczami

ROZDZIAŁ I.

Zniknięcie barona du Collet.

Paryż wpadł w osłupienie. Po tajemniczym zniknięciu sławnego krawca Jacquart, którego ciało zabalsamowane jak mumia przywiózł do domu nieznanego woźnica, gazety oznajmiły o zniknięciu barona du Collet, dawnego ministra, milionera.

Baron du Collet, wielki filantrop, założyciel mnóstwa instytucji dobroczynnych, był w Paryżu bardzo popularny. To też mieszkańcy stolicy przejęli się głęboko wypadkiem, jaki go spotkał, prasa umieszczała cały szereg artykułów, opisując szeroko dobroczynną działalność barona i wzywając władze do energicznego śledztwa i wykrycia tajemniczych zbrodniarzy. Powszechnie stwierdzono iż porwania barona, zarówno jak poprzednio krawca Jacquart, dokonał t. zw. „Fabrykant mumii“, zbrodniarz, terroryzujący Paryż od dwu lat.

Władze wzięły się energicznie do dzieła. Śledztwo prowadził sam szef bezpieczeństwa, Ducroc. Po przesłuchaniu żony barona w jego wspaniałym pałacu przy polach Elizejskich, oraz służby, pan Ducroc zebrał następujące dane:

Od pewnego czasu, baron du Collet, człowiek zazwyczaj spokojny i zrównoważony, okazywał silne, chorobliwe niemal zdenerwowanie. Na troskliwe zapytania żony, czy nie jest cierpiący — odpowiadał, że jest zdrow zupełnie i że przyczyną zdenerwowania są interesy.

Dnia 22-go listopada 1905 roku baron podczas obiadu otrzymał depezę miejską, która zrobiła na nim silne wrażenie. Kazał przygotować automobil i o dziewiątej wyjechał z szoferem Stefanem, kładąc się wieść na ulicę Świętego Jakuba N. 6. Towarzyszyło mu, jak zawsze, dwu agentów policyjnych na rowerach. Wysiadając z automobilu, baron kazał Stefanowi być przed domem punkt o jedenastej.

Stefan i obaj agenci widzieli, jak przeszedł przez ogródek, oddzielający dom od ulicy i zadzwonił. Otworzyła mu młoda kobieta, która przywitała go po niemiecku, poczem oboje weszli do domu.

ROZDZIAŁ II.

Zakłopotanie Stefana.

Na parę minut przed jedenastą Stefan stanął przed domem wraz z agentami. Na zegarze wieżowym wybiła jedenasta, Stefan zwrócił głowę w stronę domu, oczekując lada chwila ukazania się barona. Czekał jednak na próżno... Wpół do dwunastej — Stefan począł się niepokoić — baron był zawsze ogromnie punktualny! Agenci śmiali się z jego niepokojów, twierdząc, iż baron musi się dobrze bawić. Ale to nie uspokoiło Stefana, znał swego pana nie od dzisiaj.

Wybiła dwunasta. Ostry wiatr przenikał do szpiku kości, agenci rozgrzewali się, drecząc na miejscu.

— Coś się musiało stać — rzekł Stefan.

— Co się miało stać? Prostu baronowi czas przyjemnie schodzi w dobranym towarzystwie! Po co ma się spieszyć — odparł jeden z agentów, inspektor Staub, śmiejąc się. To przecież jasne! I wcale mu się nie dziwie, sam na jego miejscu zrobiłbym to samo.

Z wybiciem pierwszej po północy, światła w oknach zgasły.

— Otóż masz — odezwał się drugi agent. Teraz już można spokojnie czekać do rana. Niema obawy, żeby baron ukazał się wcześniej!

— Naturalnie! — potwierdził Staub.

— Dziwne! — mruknął Stefan, nie zgadzając się wcale ze swymi towarzyszami.

— Co za niewiniątko z tego Stefana! — roześmiał się Staub — nie rozumie takich prostych rzeczy!

Stefan nie odpowiadał — czekali wszyscy w milczeniu. Wybiła druga... trzecia... czwarta... piąta... Mały domek zdawał się być głęboko uśpiony.

Około siódmej rano poczęło szarzeć. Wstawał szary, ponury dzień. Na ulicy rozpoczynał się zwy-

kły ruch, przechodzili robotnicy, przejeżdżały ładowne wozy. Zdaleka dolatywał głuchy gwar budzącego się miasta. Agenci udali się do pobliskiej kawiarni na śniadanie; powróciwszy zastali Stefana wpatzonego w okna domu. Miał minę zdziwioną. Zaciekawieni agenci zwrócili głowy i ujrzeli, że jedno z okien na pierwszym piętrze było otwarte. Po chwili otworzono drugie, uczyniła to kobieta, niepodobna wcale do tej, która poprzedniego dnia wyszła na spotkanie barona. Była znacznie starsza, wyglądała na gospodynię. Otworzywszy wszystkie okna na piętrze, po chwili ukazała się na parterze, gdzie uczyniła to samo. Następnie udała się znowu na piętro, gdzie widocznie zajmowała się sprzątaniami, gdyż widziano, jak wytrząsała przez okno ścierkę do kurzu, trzepała dywaniki.

Co do barona, to musiał chyba znajdować się w pokoju od tyłu. Sprzątająca kobieta zdawała się nie zauważać wcale automobilu i trzech ludzi wpa-irzonych w okna domu.

— To dziwne! — odezwał się wreszcie Staub.

— Więcej niż dziwne — to nadzwyczajne, odparł Stefan. Przecież o tej godzinie baron powinien już dać znak życia.

— To prawda! — przyznali jednogłośnie agenci. I dodali zaraz, jakby pobudzeni jedną myślą:

— Trzeba pójść zapytać!

— Chodźmy! — krzyknął Stefan, podnosząc się ze swego siedzenia.

Ale Staub zatrzymał go.

— Nie — ja pójdę sam, a wy zaczekajcie tu i bądźcie gotowi przybieść na dany znak.

Szybko przeszedł przez ogródek i nacisnął guzik dzwonka. Sprzątająca pokoje kobieta — wychyliła się z okna i zaraz znikła. Agent słyszał jej szybkie kroki na schodach i w kilka chwil później, otworzywszy drzwi z klucza, ukazała się na progu. Wyglądała na lat czterdzieści, oczy miała żywe i jakby trochę niespokojne; czarne, gęste jej włosy przedzielało siwe pasmo, co nadawało jej dziwny wygląd.

Nie pozwalając jej odezwać się, Staub zapytał szybko.

— A baron?

— Jaki baron? — zapytała kobieta z takim zdziwieniem, że agentowi ręce opadły.

ROZDZIAŁ III.

— Jakto, jaki baron? — odparł inspektor. Zresztą, rzeczywiście, pani może nie wiedzieć. A więc, poprostu chodzi mi o pewnego starszego pana, który wszedł wczoraj wieczorem do tego domu.

— Starszy pan?

— No tak — wszedł tutaj, otwierała mu drzwi młoda dama.

— Młoda dama? — powtórzyła kobieta, otwierając szeroko oczy i gwałtownie zbladła... Nie rozumiem pana...

— Dobrze sobie! — zawołał Staub już ze złością — nie powie pani przecież, że nikt nie wszedł tu wczoraj wieczorem! Widziałem na własne oczy.

— A jednak...

— A! tego już za wiele! Ależ powtarzam, że widziałem, czy słyszy pani? widziałem. Towarzyszyłem temu panu, który wszedł tutaj. Zresztą wie pani o tem tak dobrze, jak i ja!

— Nie widziałam nikogo! — odparła kobieta drżącym głosem.

— Niechże pani nie udaje — to do niczego nie prowadzi. Powtarzam, iż wiem o wszystkim. A może pani obawia się skompromitować barona? W takim razie proszę się uspokoić. Nie sprowadza mnie tu zwykła ciekawość, lecz obowiązek zawodowy.

— Ach! — szepnęła kobieta.

— Jesteśmy niespokojni o barona, ja i moi towarzysze, których pani widzi koło automobilu. Do dyabła! miał wyjść o jedenastej, a czekaliśmy na próżno całą noc. Może zachorował? Przyszedłem się więc dowiedzieć, co się stało! To chyba naturalne, i sądzę, że teraz odpowie mi pani otwarcie!

Ale kobieta milczała, rozglądając się dokoła z przerażeniem.

Agent, z trudnością powstrzymujący rozdrażnienie, wyjął swą kartę.

— Widzę, że muszę pani rozwiązać język. Proszę, oto moja karta, jestem inspektor Staub, strzegący na specjalne zlecenie szefa bezpieczeństwa, osoby barona du Collet, który znajduje się w tym domu.

— Policja! — krzyknęła kobieta z widocznym przestraszaniem.

— Tak jest — policja! — odparł Staub, zadowolony z wrażenia, jakie wywołał, i pragnąc wy-

wyzyskać je — ciągnął dalej:

— Teraz już nie powinna się pani dziwić, że chcę się widzieć i z baronem i dowiedzieć się, co mu się stało. Więc... gdzie jest baron?

— Ależ ja nic nie wiem, nikogo nie widziałem. Nie wiem nawet, o kogo się pan pyta — szepnęła kobieta ze drżeniem, coraz bardziej widocznym.

Tym razem Staub stracił cierpliwość i chwyciwszy drżącą jak liść za rękę — rozkazał krótko:

— Dosyć tych komedii! Proszę mnie zaprowadzić do swej pani!

— Do mojej pani? — zapytała kobieta z najgłębszym zdziwieniem.

— No tak — i to zaraz... nie mam czasu do stracenia.

— Ależ ja — nie mam żadnej pani!

— Niema tu pani? — krzyknął agent podskakując. — A ta młoda, piękna dama, która wyszła na spotkanie barona i która tak dobrze mówi po niemiecku — hę? Któż to jest taki? Może wmówi pani we mnie, że mi się śniło — co?

— Upewniam pana, że zupełnie nie wiem, o kim pan mówi. Zupełnie nie wiem...

— Znowu to samo! Znowu wykrety!

— To prawda, panie inspektorze. Mieszkam sama jedna w tym domu, który wynajmuję od pana Veron, zamieszkałego przy ulicy Beaubourg Nr. 38. Nazywam się Jude, mieszkam tu od pięciu lat, wszyscy w tej dzielnicy znają mnie i mogą zaświadczyć, że jestem uczciwą kobietą, niezdolną do kłamstwa.

— Nikt się pani o to nie pyta! — zawołał agent, widząc w tych słowach chęć zyskania na czasie.

I patrząc ze złością w oczy kobiecie, dodał:

— Wczoraj wieczorem wszedł tu do tego domu pewien pan i dotąd nie wyszedł. Gdzie jest? Wczoraj wieczorem otwierała temu panu drzwi kobieta, której twarzy nie zapomnę, choćbym żył sto lat! Gdzie jest ta kobieta?

— Zaklinam się na wszystkie świętości, panie inspektorze — odparła pani Jude, której twarz najgłębiej poczerwieniała — zaklinam się, że nikt wczoraj wieczorem tu nie wszedł!

I wyciągnęła ku niebu rękę, jakby wzywając Boga na świadka.

— A więc ja kłamię? — krzyknął Staub, tracąc panowanie nad sobą. — Dobrze, zaraz zobaczymy... Hej! wy tam! — chodźcie tutaj!

Drugi agent i szofer pośpieszyli na to wezwanie.

— Wyobraźcie sobie — rzekł do nich Staub — że ta pani twierdzi z całą bezczelnością, że baron wcale nie wchodził do tego domu tej nocy!

— Co? — zawołali obaj w osłupieniu.

— Posłuchajcie mnie, moi panowie, kładę się codzień o ósmej wieczorem, zaraz zasypiam i śpię bez przerwy do rana — nie mogę więc wiedzieć, co się działo w tym czasie.

— Pani kłamie! — wrzasnął Staub z groźnym gestem.

— Dalej — ciągnęła pani Jude, nie zważając na obelgę — jakim sposobem mógł być u mnie ten baron, kiedy teraz po raz pierwszy dowiedziałam się o jego istnieniu. Co do damy, którą koniecznie chcecie u mnie znaleźć, to każdy zaświadczy, że nigdy jej w moim domu nie było! Mieszkam tu sama, zupełnie sama...

— Doskonale! — przerwał jej Staub — dosyć już tej gadaniny. Nie mamy czasu na takie rzeczy. Zrewidujemy dom, proszę nas prowadzić.

— Ależ, moi dobrzy panowie — zawołała pani Jude, błędąc gwałtownie — mówię wam przecież, że nic nie znajdziecie!

— Zobaczymy! — krzyknął groźnie Staub, chwytając ją za rękę. Poczem pchnął ją w drzwi i dodał, depcząc po piętach.

— Prędzej, prędzej!

ROZDZIAŁ IV.

Rzeczy, coraz dziwniejsze.

Za drzwiami agenci znaleźli się w małym przedpokoju o posadzce kamiennej, w głębi były schody, zasłonięte do połowy portyera z wschodniej materii. Na prawo z przedpokoju drzwi prowadziły do jadalni o dwu oknach, ściany do połowy wysokości były wyłożone drzewem. Na kominku dogasał ogień. Z lewej strony przedpokoju znajdował się salon o jednym oknie; meblowanie stanowił garnitur, kryty zielonym rypsem i duży zniszczony dywan. W tych dwu pokojach trudno było kogoś ukryć. Na piętrze, o podobnym rozkładzie, znajdowały się dwa pokoje sypialne. Zrewidowano je starannie, ale nie znaleziono w nich nic, coby mogło świadczyć o pobycie barona. Żadnego śladu, nic, nic zupełnie! Taki sam rezultat dały poszukiwania w dwu pokojach od tyłu.